

KAMAZA

dwutygodnik literacki

NR 1 (143)

ROK XXV

CENA 2 ŻŁ

EKSPERYMENT

ZBIGNIEW
KOŚMIŃSKI

NOWELA FANTASTYCZNA

I

NA przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych rozciągało się Polonopolis — miasto, które w niespełna 30 lat rozrosło się do potężnej metropolii wschodniego departamentu nadwiślańskiej prowincji Eurazjatyckiej Federacji Narodów. Miało się ku zachodowi. Na płaskich dachach domów, szerokich tarasach i balkonach lądowało tysiące małych, szybkich, dwuosobowych atomowców. Dołem, rozpadlinami ulic sunęły wysmukłe autotery. Ludzie spieszyli się, by wśród rodziny spędzić kilka krótkich godzin wieczornych.

Henryk stał na rozległym tarasie wzniesionym o 25 metrów nad szeroką ulicą; głęboko purpurowe i herbaciane róże sziraskie o ciężkich płatkach wychylały wspaniałe głowy z zielonej gmatwaniny łądy i liści. Wachlarze palm i egzotyczne kiście ogrodowych paproci rzucały długie cienie. Czerwony, chłodny już krąg słońca zniżał się coraz bardziej ku horyzontowi. Powietrze było czyste i ciepłe...

Przy wąskim pomoście — przedłużeniu tarasu zatrzymał się duży atomowiec Miejskiej Komunikacji Powietrznej. Zawieszony wysoko ogród, przylegający do kompleksu gmachów, zaroił się ludźmi. Po chwili wahania Henryk wsiadł i za kilka sekund pędził w kierunku Parku Centralnego. Chciał być sam, sam przed jutrzejszym eksperymentem. Nie mógł zdecydować się na pojechanie do domu. Musiał w jakiś sposób usunąć gorączkowe podniecenie, uspokoić wibrujące nerwy.

Na małym ekraniku w przodzie pojazdu zapalił się napis — nazwa przystanku: Park Centralny. Henryk wyszedł na taras, z którego ruchomymi schodami zjeżdżało się na główny plac parkowy, otoczony smutnymi, rozstrzelistymi cyprysami, platanami, rozróżnionymi kasztanowcami i srebrzystymi świerkami. Od wielostrumieniowej fontanny rozchodził się orzeźwiający chłód.

Henryk lubił chodzić o zmierzchu po ogrodach i placach miejskich; przedwieczorna cisza, długie, o łagodnych konturach, granatowe cienie drzew, delikatny dźwięk spadających kropel wody, szmer strumyków i szept liści pozwalały odpocząć, dojść do równowagi psychicznej.

Dzisiaj jednak było inaczej. Czuł, że niełatwo będzie mu przetrwać stan rozgorączkowania. Jutro... już jutro... Przypomniał sobie nieoczekiwane syna, żonę... Oto siedzą przed telewizorem. Zbyszkiwli kleją się oczy, ale czeka jeszcze na ojca. W mieszkaniu naprzeciw kochające się szaleńczo młode małżeństwo... Siwa starszka z 22 piętra oczekuje syna. Powinien zaraz przyjść. Dziennikarz z parteru pracuje nad telerreportażem.

Wielkie tafle szyb na wyższych kondygnacjach gmachów płoną żółto ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Mrok zasuwa największe gęstwiny drzew i krzewów, ogarniając stopniowo szersze i szersze przestrzenie. Za chwilę zapali się po północnej stronie nisko nad horyzontem niebieskawa kula Urania. Ciepłe promienie padną pieszczotliwie na płatki kwiatów,

wpędzą na powrót cienie zmierzchu w najgęstsze zarośla, zaleją miasto, ogrzeją pola, zgaszą blask Księżycy i gwiazd.

Jutro... jutro... Henryk chętnie wspominał dni swojej młodości jakżeż różne od teraźniejszych, ale często też wybiegał myślami w przyszłość, której ciągle był ciekawy. Teraz jutrzejszy dzień przysłonił całe minione życie.

Zabłysła Urania, by pracowicie aż do północy piąć się do zenitu.

* * *

Polonopolis było rodzinnym miastem Henryka. W jego niemal oczach rozrosło się do wielkości ponad trzymilionowego olbrzyma. Czuł się zawsze związany z tym miastem. Tutaj ukończył czternastolatkę, tu też studiował fizykę atomową. Ojciec jego był słynnym filologiem — twórcą znanej metody bezbłędnego odczytywania najbardziej nawet zawiąskanych, wielonarstwowych palimpsestów. Całe jednak życie strawił na odszyfrowywaniu znaczenia tajemniczej mowy elektronowej chwytanej z odległych obszarów śródgwiazdnych przez obserwatoria na Ziemi, Księżycu, Marsie i Wenus.

Pierwsze wrażenia dziecięce Henryka wiązały się nieodłącznie z Polonopolis; zarówno ojciec jak i matka kierowali nim mądrze i dyskretnie. Emocji dostarczały zabawy z rówieśnikami — w Ogrodzie Botanicznym, w parkach miejskich, Parku Centralnego wówczas jeszcze nie było. Także uniwersytet powstał dopiero wtedy, gdy Henryk skończył 12 lat. Ojciec do tej pory był samodzielnym uczniem i członkiem-korespondentem Federacyjnej Akademii Nauk.

Młodość Henryka była burzliwa, bo wtedy właśnie, w roku 2049 powstał konflikt panamerykańsko-eurazjatycki, który, jak wszyscy pamiętają, na szczęście dla całej ludzkości nie przybrał groźnych rozmiarów, ale wzburzył umysły, serca napełnił niepokojem, zdeorganizował na kilka tygodni normalne życie i pracę. Henryk miał wtedy 20 lat; powołano go do wojska. Przez tydzień tylko przebywał w bazie wojskowej na Księżycu, gdzie obsługiwać miał wyrzutnie atomowe, za pomocą których chciano wysłać na kontynent panamerykański setki rakietowych pocisków o ogromnej sile wybuchowej; ale nawet te 7 dni znaczyło więcej, niż kilka lat normalnego życia.

Konflikt zapowiadał się groźnie. Przygotowywana już nawet była ewakuacja ludności z Eurazji na Wenus, ponieważ, jak się spodziewano, wybuch nie tylko zmiotłby wszystko z powierzchni Ziemi, ale mógłby spowodować pęknięcie globu, nie mówiąc o śmiertelnościowym działaniu promieni radioaktywnych. Armia panamerykańska również starannie była przygotowywana; zachodnią półkulę osłonięto niewidzialną oponą promieni mezonowych, które miały wywołać przedwczesny wybuch pocisków rakietowych w atmosferze o 200 kilometrów od właściwego celu. Rozbudowana flota wielkich pojazdów rakietowych służyłaby do zaatakowania Eurazji. Nad terytorium Eurazjatyckiej Federacji

Narodów dniem i nocą patrolowały szybkie atomowce, które bezustannie wysyłały na wszystkie strony promienie radarowe; nadajniki radarowe sprzężone były z automatycznymi wyrzutniami pocisków atomowych zdalnie kierowanych.

Henryk zapisał w swoim dzienniku wrażenia pamiętnego tygodnia.

Z DZIENNIKA HENRYKA R.

27. VI. 2049 r.

WRÓCIŁEM z laboratorium. Przed chwilą dowiedziałem się, że Kennedy w razie odrzucenia przez Federację rozszczeń panamerykańskich do całego Marsa groził agresją. Chyba to tylko straszak. Zresztą — kto wie. Kennedy — to uparty szaleniec... z systemem. A Mars stanowi doskonałą bazę wypadową do kolonizowania dalszych planet. Sądzę, że Federacja zechce jednak zatrzymać należącą się jej słusnie połowę „boga wojny”. Na Merkurego przecież nie polecimy.

Ach, co tam Kennedy... Przede wszystkim ważne rzeczy dzieją się w nauce, w sztuce. Dzięki laboratorium, ultrasynchrocyklotronom i tym wszystkim wspaniałym aparatom, z którymi przestają codziennie, coraz szerzej otwierają mi się oczy na świat. Interesuję się może zbyt wieloma sprawami, ale wiem o tym, że na zawsze już pozostanę wierny fizyce atomowej.

28. VI.

Jednak Kennedy, cały rząd i parlament panamerykański — to osły. Uple-

rają się przy swoim, chociaż przecież nie byłoby dla nich żadną krzywdą, gdyby poprzestali na połowie Marsa. Nocami patrolują wojskowe atomowce.

29. VI.

Konflikt wydaje się być nieunikniony. Na całym terytorium Federacji ogłoszono, że należy się przygotować do ewakuacji na Wenus. Zostałem zmobilizowany. Wprawdzie na razie objam się po Polonopolis, ale nie wiadomo, co będzie jutro.

30. VI.

Wysyłają mnie z dużą grupą na Księżyc. Dzisiaj o godzinie 17.00 odjazd.

I. VII.

Jesteśmy więc wśród kraterów księżycowych. Daleko za nami została Ziemia i stacja międzyplanetarna.

Krajobraz tu wspaniały... Ani najlepsze teleskopy, ani najdoskonalsze telewizory nie potrafią oddać surowego piękna tych fantastycznych widoków. Wielu z nas już tu było — ja po raz pierwszy oglądam Ziemię z naszego satelity.

Czujemy się źle... Stanowimy obsługę wyrzutni pocisków rakietowych. Są one ogromne. Niby potworne gady paleozoiczne stoją od siebie w odległości pół kilometra. Siła wybuchu jednego pocisku przewyższa dziesięciokrotnie wywołaną energię największej ze znanych dotychczas bomb wodorowych. Nie myślałem nawet, że produ-

(Dalszy ciąg na str. 4—5)

WITOLD WIRPSZA

Pod Giewontem

Leży olbrzym z legendy
Równo jak na operacyjnym stole.
Kamienne piersi się wzdęły,
Włosy w tył odgarnięte niedbale;

Spi czy uśpiony? Czy, ostukawszy,
Ktoś chloroformu nakapał mu na nos?
Nie żartuj. Jest w tej skalnej twarzy
Jakiś patos.

Ale przyjrawszy się lepiej, widzisz, że cały
Ów masyw, to nie tylko Giewont.
Pełno na nim giewoncików małych.
Oblazły go? Czy-li wyszły z niego?

Te skałki, te uskoki rysują nosy i ręce,
Brzuski i czupryniki, mrowie, mrowie;
Pytanie: gdy zbudzi się olbrzym i wyprostuje w męce,
Czy strząśnie owady?
Czy-li wchłonie w siebie, zachowa na wieczność w sobie?

Przy pracy

KAZIMIERZ
ANDRZEJ
JAWORSKI

STOPNIOWO zaczynają nas wciągać do pracy. Dotychczas poznaliśmy tylko Stehekommando, przydział, „czynności” niezbyt wprawdzie produktywnej, niemniej jednak dość uciążliwej i w skutkach swych przykrej, o czym mogły snadnie zaświadczyć nasze obrzęknięte dolne kończyny. Nic dziwnego: dziesięć godzin dziennie w pozycji stojącej. Toteż myśleliśmy o oczekującej nas zmianie z pewną ulgą: zawsze to bardziej interesujące od tego ciężkiego stania, czas nie będzie się tak dłużył, no i świeże powietrze.

Tylko do jakiej „komendy” wyznaczyć? Najbardziej obawialiśmy się kliniki, jako wyczerpującej ze względu na sam rodzaj pracy i odległość od obozu. Poza nią istniały jeszcze różne inne przydziały: tzw. Holzhof, gdzie miało się do czynienia z obróbką drzewa, Tongrube, gdzie kopano się glinę, praca przy kanale, warsztaty odpowiednich rzemiosł, pralnia, kuchnia, piwnice z warzywami, wywożenie śmieci itd. Do najbliższych zajęć w plenerze należało ogrodnictwo, a w barakach — Strumpfkommando, gdzie cerowano skarpetki. Do tych „komend” jednak Polakom dostać się było trudno. Rozmaitość więc wielka, ale wybór nie przysługiwał oczywiście więźniom, zależał od blokowego lub odpowiedniego zapotrzebowania w tzw. Schreibstube. Protekcja też tu miała pewne znaczenie.

Od czasu do czasu wpadał do naszej izby George i przydział grupom pracę. Każdy z nas drżał tylko, czy go nie wyznaczą do kliniki. Młodzi, zdrowi i lepiej wyglądający nie mogli się od niej wykreślić. Z dniem każdym zmniejszała się liczba stojących.

Mnie zaliczono w końcu do Ziegelträgerów. Było to zajęcie dorywcze, nie wymagające zbytnej inteligencji, o charakterze, rzecz można, pociągowym. Wychodził się za bramę obozu na określone miejsce, skąd piątkami wyruszał się po cegły. W jedną stronę szło się lekko, urozmaicając sobie kilometr drogi rozmową z sąsiadami. Na widok zbliżającego się esesmana milkli wszyscy, a z ust prowadzącego rozlegała się komenda: „Mützen ab!” Był to moment niebezpieczny, gdyż zawsze można było coś oberwać. W powrotnej drodze już nie musieliśmy przy spotkaniu z mundurem zdejmnąć czapkę, gdyż ręce nasze były obciążone ceglami — po dwie w każdej. Nie było to wcale, ale z kilkanaście kilo ważyło. Do obiadu nie śpiesząc się zbytnio rozbiliśmy cztery — pięć tur. Nonsens tej pracy rzucał się w oczy: samochód ciężarowy lub wóz konny zalał wibulby ją o ileś przedzie, oszczędzając niewoźniemu zużywaną energię ludzką, ale przecież trzeba było setkom więźniów, zatrudnionych przy tej czynności, zarobić na czekającej ich w południe brukielance.

Okres noszenia cegieł ciągnął się za dwa tygodnie. Nie powiem, bym się przy tej pracy przemęczył. Nadzarcąpkiem przy niej nie tyle zdrowo, ile może półbuty. Ze zdartymi zółwkami wróciłem na blok na razie do „komendy” stojących.

Potem jeszcze byłem kilka razy na „Holzhofie”. Tu noszenie ciężkich desek dawało mi się we znaki. Miałem ramiona obolałe, co szczególnie dolegało przy ubożeniu się na sienniku. Ale uciążliwsze było dzwiganie bali przeznaczonych do platanca. Z zazdrością patrzyłem na dary przy stojakach operujące pnie drzewa. Te rytmiczne wyrzuty ramion w przód i w tył nie wymagały takiego wysiłku, jak dostarczanie im materiału do obróbki.

I znów Stehekommando, aż kiedyś blokowy zapisał mój numer do pracy w klinice. Nie pomogły najbardziej „muzulmańskie” miny. „Du bist noch jung, Mensch!” — orzekł. Cóż było robić?

Tereny klinikierniane znajdowały się poza obrębem obozu w odległości jakichś trzech kilometrów. Więc najpierw z górą pół godziny marszu. Długo kolumny więźniów, ze dwa — trzy tysiące. Miarowe kroki odbijają takt po kamieniach szosy. Obok uzbrojeni żołnierze z karabinami gotowymi do strzału, gdyby ktoś wybiegł z szeregu.

Droga prowadzi początkowo przez rzadki las sosnowy, zastandaruzowany jak wszystko tutaj, „ucywilizowany”, nie przypominający naszych sobiepańskich niczym, chyba tylko wonią żywicy. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy spotykamy cywilów. Mijają nas rowery, czasem pojazdy konne. Idący pieszo usuwają nam się trwożnie z drogi na boczną ścieżkę. Kobiety przeważnie, starsi i dzieci. Nie widzimy w ich oczach współczucia, raczej lęk na widok mundurów. Spoglądamy na nich z zazdrością. Ludzie bez eskorty, wolni. Chociaż... czy może być w Niemczech mowa o wolności?

W pewnym miejscu, gdzie las się kończy, zakręcił nam się w oczach kilka drzew jarzębiny. Korale jej owoców urzekają nas: żenice: spływa od tej czerwieni na złoła serca ciepło łaski niezmierniej, jakby dalekie pozdrowienie wioski rodzinnych, gdzie to drzewo jest tak powszednie. Przez chwilę słodka iluzja: ta bocznica na skrzyżowaniu to droga do jakiejś Wólki, gdzie w pszczoł rozbrzęku lipy się zwały wokół drewnianego kościółka, za którym ciągnie sznur chałup o słomianych strzechach z bocianim gniazdem na niejednej. Ale mijamy jarzębiny i złudzenie pierzcha.

Zbliżyliśmy się ku mostowi na kanale. Ten nie ma nic z uroku tamtych drzewek. Żelazne ciężkie przesła, ujarzmiona w betonie ciemna woda, chłód od niej bijący — wszystko to technie wrogością. A te berlińskie przycumowane do brzegu, ci marynarze „słodkich wód” z przyklejona do warg fajka nie wyglądają wcale słodko.

Ale most za nami. Jeszcze dziesięć minut drogi i wchłania nas olbrzymi plac klinikierni.

Stoimy w milczeniu czekając na przydział pracy. Obok uwiłają się „Vorarbeiterzy”, wywołując do zgłoszenia się specjalistów — rzemieślników. Ci będą mieli lepszą pracę: murarze, cieśle, stolarze. Niestety, nie posiadam żadnej z tych umiejętności. Chrapliwe głosy przodowników są złe i natadowane wściekłością. Tak, czuję — dadzą nam tu szkołę. Karność nadzwyczajna, pośpiech, „Laufschritt”. Znalazłem się w jednej z kolumn przelazonych do robót pomocniczych.

Biegniemy przepisowo piątkami na miejsce pracy. Pięć minut takiego „Laufschrittu”. Serce wali nieprzytomnie, z trudem chwytam oddech. Ale nic to: są tu przecież dużo starsi ode mnie i też bieg muszą. Wreszcie stajemy. Tu znowu kolumnę dzielą na grupy. Każda ma swego „Vormana”. Pędzimy do szpadli. Nasz oddział wyznaczono do plantowania terenu.

Nareszcie można chwilę wytchnąć. Stoję w grupie z narzędziem i czekam, aż się serce uspokoi. Dobra, poczłwa maszyna, ciężka tu cię oczekuje praca! Jak dobrze, żeś przeszła wieloletni trening wysokogórski! Chociaż ta nerwica... Pogrążam szpadel w ziemię i odrzucam piasek. Jest lekko wilgotny i podatny, czuję — nie jest mi wrogi. Kiedyś, kiedyś stąpały po nim stopy słowiańskie, później krew się tu lala i ciężki but zwycięskiego najeźdźcy wdeptał się w tę ziemię. Dziś znowu urawamy tu, Słowianie, jeszcze niewolnicy, do których jednak jutro należy. Więc może ten piasek pomny swej przeszłości dlatego jest taki miękki i przychylny ruchom mych ramion.

Pracujemy, według wskazówek Thea, „oczami”: gdy „Vormana” nie widać, rozmawiamy sobie swobodnie i nie rozmawiamy sobie zbytnio, ale gdy tylko się zbliży, a nie daj Boże, zatrzyma, śledząc złym wzrokiem tempo pracy, udajemy gorliwość, ręce wykonują prędkie ruchy, bo nikt nie chce narazić się na występowanie w najlepszym razie teutońskich wyzwiąsk, jeśli nie na kopnięcie lub połeczek. Czas do obiadu upływa szybciej niż w Stehekommando: oto już gwizdek na przerwę. Więc ustawiamy się w oddziały, oddziały w kolumny i biegiem na plac klinikierni, dokąd już zajęchały kotły z zupą.

Na placu widnieją stupy z olbrzymimi cyframi wskazującymi miejsca, gdzie winny się ustawić odpowiednie kolumny do obiadu. Podchodzący sznurem do kotła, gdzie dyżurni Niemcy rozlewają wyczekiwany napój. Och, inaczej tu niż w obozie: oszukują nas najwyraźniej, nabierają niepełną chochłę, a przy wlewaniu do miski część zupy wraca do kotła. A przy tym ciągle te okrzyki: los! i wymyślenia, jeśli ktoś niewygodnie dla nalewającego podstawi miskę. Z drogocennym likworem wracamy na swoje miejsce i w piątkach pod gołym niebem jemy obiad. Kto chce — stojąc, kto woli — siedząc na piasku. Zupa na powietrzu stygnie szybko a ulatnia się o wiele prędzej niż w bloku. Brr, piaski obiad, i jak psy spożywamy go pod słońcem i chmurami. Jeszcze dobrze, że nie ma deszczu, ale ładnie to musi wyglądać w ulewę!

Obok placu stoi barak, gdzie robotnicy w cywilnych ubraniach posilają się wygodniej i lepiej od nas. Na marynarkach mają znaczek P, oczywiście Polacy, ale komunikować się nam ze sobą nie wolno. Więc tylko obrzucamy się nauzajem ciekawymi spojrzeniami. Czytamy w ich oczach współczucie, są przecież w lepszych od nas warunkach, bądź co bądź wolni, nie wychowankowie obozu koncentracyjnego.

Zupa wypita, oszukany żołądek dopomina się gwałtownie dalszego ciągu, ale o dolewcę nie ma mowy. Dyżurni obchodzą szeregi i odbierają miski. Jeszcze pół godziny możemy sobie poleżeć na piasku, wypalić papierosa, pogawędzić — i gwizdek. Znowu ta sama historia: „Laufschritt” na miejsce pracy; że nie bardzo zdrowo uprawiać taki sport po obiedzie, nikogo to nie obchodzi, a zresztą istotnie żołądków nie mamy obciążonych.

Znowu plantujemy teren starając się możliwie oszczędzać siły. Wtajemniczamy się w stosunki klinikierniane. Przechadzają się esesmani, pokrzykują czasami na więźniów, ale gorsi są od nich Vorarbeiterzy i Vormani z Selmanem na czele. O, ten to pies i niebezpiecznie wpaść w jego łapy. Toteż, gdzie się tylko ukaże, praca kipi po prostu.

Na otwartym powietrzu, na olbrzymiej odrutowanej przestrzeni czujemy bardziej jeszcze niż w zamkniętym baraku całą okropność niewoli. Oto stoń-

której rozciąść się można, miska z gorącą kawą, porcja chleba z margaryną — ten okruh wygody po ośmiu godzinach pracy na klinice i sześciu kilometrach marszu nabiera jednak pewnej wartości. A później rozkosz wyciągnięcia się na sienniku, pogwaraka wleczorna i twardy krzepiący sen.

Ale jutro znowu to samo, i pojutrze, i co dzień... Ach, wyrwać się z tej klinikierni, znaleźć inny przydział pracy, na miejscu!

Jestem jednak dalej w „Klinker-kommando”. Plantuję, noszę kamienie, ładuję piasek do wagonów. Co dzień coś innego, ale wciąż w tym niewolniczym kieracie.

Kiedyś przy plantowaniu w niewłaściwym miejscu, gdzie izolowałem się od towarzyszy, aby sobie przy pracy lepiej samotnie rozmyślać, zetknąłem się oko w oko z Selmanem. „Was machst du da, dummer Kerl!” wrzasnął na mnie, i ogłuszył mnie potężny policzek. Przepędził mnie stamtąd i wyznaczył pracę gdzie indziej. Zanotowałem sobie w pamięci to uderzenie brudnej łapy niemieckiej. Innym razem usłyszałem nagle skierowane najwyraźniej pod moim adresem słoziutkie: komm, komm, komm! — Vorarbeiter. Coś mu się przywidziało, że rozmawiałem z kolegami, choć wtedy właśnie w milczeniu kaleczyłem ziemię szpadlem. Podszedłem do niego tych kilkanaście kroków, nie wiedząc, na co się zanosi, ale przygotowany na najgorsze. „Rollen” — wrzasnął wskazując mi miejsce zasypiane szutrem i kamieniami. A cóż, trzeba i tej przyjemności zakosztować. Położyłem się na mokrym usypisku i przetulałem się tam i z powrotem kilka razy. Czulem ostre kamyki nawet przez ubranie, ale nieostonione ręce i głowę przeczornie uniosłem z lekka do góry. Ostatecznie, zbyt przykre to nie było, a że spodnie na tym, trochę uciertały, nie moje przecież były, ale niemieckie. Bałem się tylko, by mnie na pożegnanie nie poczęstował kopniakiem, ale jakoś obezło się bez tego. Wróciłem do pracy, która już dalej ciągnęła się bez niespodzianek.

Postanowiłem jednak stanowczo wycofać się z niebezpiecznej klinikierni, a że w kilku miejscach starłem sobie dość boleśnie aż do krwi palce nieprzy-



ce na niebie, oto bieluszkie żagle obloków, ptak swobodnie syczy nad nami, pogodny wrzesień uśmiecha się łagodnie, smutek jesieni — a w sercach naszych wzbiera jeszcze większa tęsknota do kraja, jeszcze większe pragnienie wolności, którą nam tu przypomina rozległa otwarta przestrzeń. Ach, nie patrzeć, nie myśleć! Szpadel szybko poruszył się w rękę, urasta góra usypowanego piasku.

Ale gwizdek na „Jajrant”. Praca kończy się tu prawie o godzinę wcześniej niż w innych „komendach” ze względu na czekającą nas jeszcze drogę powrotną: mamy przecież wrócić do obozu na apel wieczorny. Więc składanie narzędzi, ustawianie się w grupy, w kolumny, znowu „Laufschritt” na plac, tam jeszcze sprawdzanie stanu wszystkich kolumn, bo nuż się ktoś gdzieś zawieruszył, — i marsz powrotny.

Z dziwnym uczuciem zasiadam później po apelu do wieczery przy stole. Jakkolwiek tu jest w bloku, mimo wszystko to przecież nasz dom. Znajome twarze kolegów, „sztabowego”, nawet starszyzny niemieckiej, ława, na

wykłe do operowania szpadlem, zgłosiłem się więc do blokowego i George uznał, że na razie wracam do Stehekommando.

Wtedy to po raz pierwszy miałem sposobność zaznajomienia się z ambulatorium obozowym, tak zwanym „rewirem”. Ale o tym później.

Jesień posuwała się szybko naprzód. W końcu października chłody zaczęły nam się poważnie dawać we znaki. Wprawdzie otrzymaliśmy już kalesony i skarpetki, ale to niewiele pomogło. Przebąkiwano, że wydadzą nam pulowery, płaszcze, nauszniki i rękawice, jakoż istotnie wkrótce zaopatrzone nas w ciepłe rzeczy. Wprawdzie bawelniany damski sweter, jaki mi los przydzielił, i wiatrem podszyty płaszczyk z pokrywy nie rokowały wystarczającej ochrony przed zimowymi mrozami, na razie jednak zabezpieczyły wystarczająco. Przybył wprawdzie kłopot z układaniem płaszcza w kostkę i sposobność do nowych przyczepki „sztabowego”.

(Dokończenie na str. 6)

EKSPERYMIENT

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kuje się u nas taki potężny sprzęt wojenny. 4 lata temu minął wiek od zakończenia II Wojny Światowej. A jednak zbrojenia były...

Wszyscy żyjemy w ciągłym podnieceniu nerwowym. Nie możemy wyżyć się poczucia jakiejś straszliwej samotności, jakiegoś lęku kosmicznego.

Przy wychodzeniu z pomieszczeń dla żalugi wkładamy skafandry. Lekkość naszych ciał przeraża nas. Na czarnym niebie świeci bladym światłem ogromna Ziemia, a obok niej dwa maleńkie z tej odległości, ale jasne słońca — Urania i Plutonia. Tam są nasze rodziny...

A wyżej... dalej — gwiazdy i oślepiająca kula słoneczna.

2. VII.

Piszę chaotycznie, nerwowo. Nie wiem, czy dziennik ten nie będzie dla mnie jedynym wspomnieniem Ziemi.

Codziennie obserwujemy nasz glob. Podobno setki pocisków wyrzucanych przez nas mogą rozłupać Ziemię jak skorupę orzecha. Straszne...

Dają nam duże dawki syntetycznej kofeiny. Mimo to nerwy nasze napięte są do ostateczności. Wielu współtowarzyszy niedoli posiwiało. To przecież my, my możemy stać się przyczyną śmierci tysięcy milionów, a może miliardów ludzi: uczonych, artystów, kobiet, dzieci... Co za bezsens, straszliwy, makabryczny bezsens.

Ręce mi drżą...

Ziemię, może ostatni raz widzę Cię przed Twoją śmiercią?

4. VII.

Myślałem o najbliższych... Boję się tej chwili, kiedy...

Wiem, że moje notatki są coraz bardziej chaotyczne. To wynik już chyba neurastenii, jakiegoś obłędu... Zniszczyć ten najpiękniejszy glob — to zbrodnia; nie usprawiedliwi tego czynu najsluszniejsze przesłanki. Ale gdy każą strzelać, nie oprę się, nie opręmi się wszyscy. A potem? Rozpacz, boleśń chwytająca wilczymi zębami za gardło i... cisza, wieczna, straszliwa cisza po popełnionej zbrodni.

7. VII.

Wracamy na Ziemię. Co za szalona, niewysłowiona radość... Żołnierze rzucają się na twarde grunty księżycowy, płaczą.

Podobno mają nas wysłać na trzymiesięczną kurację. Postarzelismy się tutaj — o dobre dziesięć lat.

Witaj, Ziemię, najukochańsza moja, witaj, matko, rodzinno, wszyscy ludzie... Jestem sentymentalny. Ale nie mogę opanować tego szaleńczego uczucia szczęścia na wieść, że wszystko dobrze się skończyło... Co za radość... Ziemia, Słońce i gwiazdy świecą jak dawniej, jak zawsze...

II

HENRYK wstał z ławki. Schwytał się na tym, że cały czas myślał o jutrzejszym dniu... Nareszcie wyniki dziesiątków lat pracy będą ostatecznie sprawdzone.

Nie chciał jeszcze wracać do domu. Ciągłe czuł podniecenie, nie mógł myśleć o niczym poza tym jednym.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni luźnej tuniki małe nadajnik-odbiornik telewizyjny. Połączył się z domem. Na mikroskopijnym ekraniku zamajaczyła twarz żony.

— Nie czekajcie na mnie. Przyjdę dziś później. Chcę wpaść jeszcze do Zygmunta i muszę zobaczyć się z Bogdarem.

— To dla mnie nic nowego. Tak się przecież dzieje od wielu lat — głos żony był matowy od nieukrywanej goryczy.

— Wybacz, kochanie. Wiesz, że jutro ostateczny eksperyment. A potem, potem przez długie miesiące będę tylko z wami. Jutro zakończymy naszą pracę. Nie gniewaj się. Dobranoc!

— Dobranoc.

— Twą żonę zniknęła. Henryk natłuszył telewizor na odpowiednią falę i za chwilę rozmawiał z Zygmuntem.

— Jak się masz, przyjacielu.

— Cześć!

— Słuchaj. Chcę do ciebie wpaść. Trochę pogadamy. Czy jesteś wolny?

— Przyjdź. Czekam.

Ruchome schody wywindowały Henryka z powrotem na taras, przy którym był przystanek Miejskiej Komunikacji Powietrznej.

Zygmunt mieszkał w najnowszej dzielnicy miasta — na przedmieściu Paderewskiego, przy 12 ulicy. Czekał na Henryka. Przywitał go ze szczerą radością.

— Nie widziałem cię chyba z rok. Przypomniałeś sobie wreszcie o moim istnieniu. Co się z tobą dzieje? Jak tam te twoje tajemnicze eksperymenty?

Henryk nie lubił dużo mówić o sprawach, które go pasjonowały. Uważał, że dopóki coś stanowi jeszcze dla niego zagadkę, dopóki wyniki nie przybrały ostatecznego kształtu, lecz są przedmiotem marzeń, a dociekania mają podnieść w sferze niezaspokojonej namiętności i ciekawości, dopóty nie należy dzielić się swoją niepewnością i pasją z innymi. Dziś jednak czuł potrzebę porozmawiania o sobie i swoich problemach z Zygmuntem, tym więcej, że prace Bogdara i jego dobiegały końca.

— Właściwie zakończyliśmy już wszystko. Jutro ostateczny eksperyment. Bogdar chodzi jak nieprzytomny, a ze mną też nie jest lepiej. Nie mogę znaleźć sobie miejsca i myśleć o czymś innym. To przecież będzie prawdziwy przewrót w nauce i technice.

— A na czym właściwie polegają te wasze badania?

— Dzisiaj ci jeszcze o tym nie powiem dokładnie. Po jutrzejszym eksperymencie wyjaśnię ci wszystko. Ale uchylę przed tobą rąbka tajemnicy...

Widzisz, dziś stosuje się już prawie powszechnie promienie kappa, przyspieszając wzrost roślin i zwierząt. Pierwiastki chemiczne: pelur, euazon, septemderyt przy odpowiednio regulowanym procesie przemiany jądra atomowego wytwarzają promienie kappa. Promienie lambda, regenerujące... nie wyszły na razie ze sfery eksperymentalnej... Ale my szukamy czegoś więcej — promieni odtwarzających.

— Odtwarzających?

— No tak. Po prostu odtwarzających organizmy, które przestały żyć.

— A więc wskrzeszanie zmarłych... No, wiesz, że takich wspaniałych planów. Ale to przecież w gruncie rzeczy nic nowego. Medycyna od dawna potrafi przedłużać życie ludzkie nawet do stu kilkudziesięciu lat, a to jest już chyba wskrzeszaniem, bo wiek człowieka w normalnie dobrych warunkach nie mógłby przekroczyć przeciętnej sześćdziesiątce — siedemdziesiątce lat. A powracanie do życia zmarłych śmiercią kliniczną znano już w połowie dwudziestego wieku.

— Jesteś sceptykiem, ironistą, w dodatku tendencyjnym. Chwytasz się pierwszego lepszego sformułowania, nie znając meritum sprawy i znęcasz się nad „interlokutorem”. To nie są uczciwe metody dyskusji.

— A więc o co wam właściwie chodzi?

— O to, by móc odtwarzać zniszczone przedmioty lub zmarłe nawet dość dawno organizmy.

— To utopia.

— Nie, bo wiele eksperymentów już dało pozytywne rezultaty. Zresztą mówię „pozytywne rezultaty” bardzo ostrożnie formułując wyniki naszych dociekań.

Chwilę milczeli. Potem Henryk wstał i zaczął się żegnać. Chciał jeszcze dzisiaj porozmawiać z Bogdarem.

— No to życzę wam powodzenia — Zygmunt nie zatrzymywał przyjaciela. — A nie zapomnij poinformować mnie o ostatecznych wynikach waszych doświadczeń. Chcę wiedzieć o tym wcześniej i z pierwszej ręki. To może być przecież przywilejem bliskiego przyjaciela przyszłej sławy naukowej.

— A nad czym ty pracujesz?

— Jak zwykle. Codziennie w obserwatorium. Cały czas zabierają nam badania Andromedy, no i, oczywiście, tego, co było zawsze moją *idée fixe* — wpływu poszczególnych galaktyk na siebie, wpływu pojętego jak najbardziej wszechstronnie. Entuzjastycznie się idealną synchronizacją badań obserwatoriów ziemskich, księżycowych, wenusjańskich i marsjańskich. Taka daleko idąca współpraca może dać naprawdę piękne wyniki. Kto wie, czy nie jest już bliska chwila, kiedy wszechświat zdradzi człowiekowi prawie wszystkie swoje tajemnice. Astrofizyka, astrochemia, astrografia czynią niemal z dnia na dzień ogromne postępy.

Henryk pożegnał się. Na ulicach ruch był niewielki. Rzadko przemykały bezszelestnie autotery. Górą sunęły nocne atomowce. Z pobliskiego dworca komunikacji międzyplanetarnej wyskoczyła w górę ogromna rakietka pasażerska.

Henryk nie pojechał już do Bogdara. Wrócił do domu autoterem.

— Jutro... już jutro...

Z BOGDAREM — znanym na całym świecie fizykiem atomowym — pracował Henryk od roku 2052. Kiedy tylko przestał studiować, uwielbiany przez studentów profesor zaproponował mu objęcie asystentury. Henryk przyjął to z entuzjazmem. Zawsze przecież marzył o tym, by badać zjawiska, które go interesowały od dawna. A praca pod kierunkiem takiego uczonego jak prof. Bogdar przekraczała najśmielsze plany Henryka.

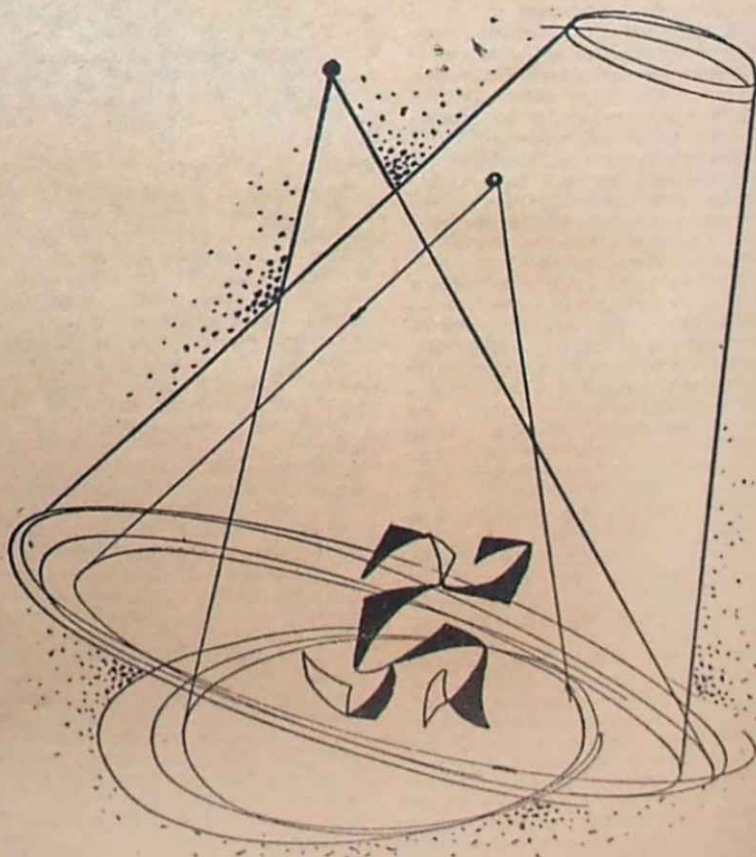
Chwilami Henryk zapominał o wszystkich i wszystkim pochłonięty badaniami. Tajemniczy jeszcze ciągle mikrokosmos atomu fascynował go, wciągał w bezdenną otchłań naukowo dociekań, rozkołysane myśli nie pozwalały mu spać spokojnie. Żywo interesowała go nie tylko najnowsza atomistyka, ale również jej historia. Prace Balmera, Ritz'a i Bohra, Becquerela, wielkiej Marii Curie-Skłodowskiej i Piotra Curie, Fryderyka Joliot-Curie, Diraca i Yukawy, Paisa, i Gell-Manna, całej armii uczonych wcześniejszych i późniejszych aż do Lao-kianga, Smitha, Sheridana, Krasnodniwcowa i Bogdara — napawały Henryka szacunkiem do ogromu nagromadzonej w ciągu wieków myśli ludzkiej, dzięki której możliwe były wspaniałe osiągnięcia współczesnej techniki. Prymitywne stopy atomowe, reaktory i akceleratorzy z połowy XX wieku nie były dla Henryka śmiesznymi rekwizytami staroświecznymi, lecz świadectwem wysiłku i potęgi ludzkiego umysłu. Z podziwem odnosił się zawsze do walki o pokojowe zastosowanie energii termojądrowej, do pierwszych prób zbudowania sztucznego satelity Ziemi, do zażegnania strasznego niebezpieczeństwa, jakim groziło człowiekowi stężenie w atmosferze strontu 90 i ceszu 137. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę z wielkości drogi przebytej przez naukę i technikę w ciągu minionego stulecia.

Nowoczesne, estetyczne cylindry synchrocyclotronów oraz starszych cyklotronów i bewatronów stoją w każdym, nawet najmniejszym mieście. Najtańszy napęd atomowy wyparł od kilkudziesięciu lat węgiel, ropę naftową i — stosunkowo najpóźniej — elektryczność. Energię termojądrową można przechowywać i przekazywać na odległość bez żadnych szkodliwych skutków dla żywych organizmów na globie ziemskim. Ciężkie, grube płaszcze ołowiane chroniące przed radioaktywnością zastąpione zostały cienkimi blaszkami stopu reaktywnego, pochłaniającego całkowicie promienie i magazynującego je. Ukrytą energię wyzwala działanie promieni eta, a akumulatory stopowe pozwalają na nagromadzenie jej w dowolnej ilości. Przekazywanie energii na odległość przez zamianę wszelkiego rodzaju

energii atomowej i jądrowej na elektryczną i przeciwnie — to sprawa prosta, ale odkrycie tego musiało czekać aż do r. 1988. Nieograniczone prawie przeobrażanie jednych pierwiastków w inne otworzyło ogromne perspektywy przed współczesną chemią atomową. Dysponując taką energią bez trudu stopić można było odwieczne lody obydwo biegunów, a zawieszanie nad nimi słońce atomowych stało się rzeczywistością. Co wieczór łagodne, niebieskawe i nieruchome światło Uranu i Plutonu ogarnia Ziemię. Urania krąży po elipsie, której najdalsze punkty stanowią: Biegun Północny i zwrotnik Raka, a Plutonia przebiega krzywą, której rzut łączy Biegun Południowy ze zwrotnikiem Koziorożca. Promienie sztucznych słońc dają ciepło i światło, przede wszystkim zaś utrzymują w krajach arktycznych i antarktycznych odpowiednią temperaturę, właściwą dawniej tylko strefie umiarkowanej.

Dzięki energii jądrowej zbudowano także stacje międzyplanetarne i uruchomiono regularną komunikację na Księżyc, Marsa i Wenus.

Badania prof. Bogdara wiązały się ściśle ze stanem współczesnej atomistyki, ale szły o wiele dalej. Interesowała go głównie sama promieniotwórczość, ściślej — konstruktywne własności wszelkiego rodzaju promieni. Już w XX wieku niszczone nowotwory promieniami radioaktywnymi wytwarzanymi przez promieniotwórcze pierwiastki. W najbliższym półwieczu atomistyka warunkująca niespotykany dotychczas rozwój techniki poczyniła tak ogromne kroki naprzód, że można było mówić o prawdziwym przewrocie w tej dziedzinie. Badania naukowe nastawione były przede wszystkim na wykorzystanie energii jądrowej dla polepszenia możliwości produkcyjnych przemysłu i stworzenia człowieka maksymalnie dobrych warunków życia. Za pomocą promieni radioaktywnych wywołuje się sztuczny deszcz, ciepłem uzyskiwanym ze specjalnego rodzaju hamowanego procesu rozpadu jądra atomowego ogrzewa się mieszkanie, skomplikowane urządzenia klimatyzacyjne również opierają się na zdołkach atomistyki, nie mówiąc już o regularnej komunikacji międzyplanetarnej i na globie ziemskim, o napędzaniu wszelkich maszyn itd. Jednocześnie poznano nowe tajniki atomu, kilkadziesiąt różnych rodzajów reakcji rozszczepienia i syntezy jądra, odkryto promienie delta, eta, iota, mezonowe, a ostatnio — kappa i lambda. U progu XXI stulecia prof. Lao-kiang stwierdził, że określony rodzaj promieni radioaktywnych powoduje przyspieszenie wzrostu roślin, po długoletnich badaniach i eksperymentach wyeliminowano grupę pierwiastków, które przy hamowanym procesie przemiany jądra atomowego wyzwalają promienie wpływające pobudzająco na rozwój organizmów roślinnych i zwierzęcych. Były to nowe pierwiastki chemiczne: pelur, euazon, septemderyt. W niewiele lat po tym odkryciu uczoney Smith natrafił na ślad istnie-



nia promieni regenerujących. Pierwsze z nich nazwano promieniami kappa, drugie — lambda.

Na całym świecie przystąpiono do masowego produkowania odkrytych w ostatnich czasach pierwiastków. W laboratoriach fizyki atomowej przeprowadzono miliony doświadczeń, zbadano w ciągu kilku lat ponad miliard łańcuchowych reakcji syntezy i hamowanego rozszczepienia jąder tych i innych pierwiastków. Dość wcześnie zaczęto stosować dokonane odkrycia w rolnictwie i hodowli zwierząt. Te dziełny gospodarki, mimo coraz częstszego używania koncentratów i syntetycznych artykułów spożywczych, miały nadal wielkie znaczenie, ponieważ stwierdzono, że nie można bez szkody dla organizmu ludzkiego odżywiać się wyłącznie produktami sztucznymi. A zapotrzebowanie na płody rolne było olbrzymie, gdyż ludność globu ziemskiego już w roku 2050 wynosiła 6,5 miliarda, nie licząc mieszkańców baz na Księżycu, Marsie i Wenus.

Prof. Bogdar wyszedł z założenia, że obok promieni przyspieszających wzrost i regenerujących muszą istnieć promienie odtwarzające w przestrzeni jakies przedmioty lub wręcz tworzące. Była to myśl przerażająca śmiała. Gdy Henryk po raz pierwszy usłyszał z ust Bogdara o tych planach, milczał zaskoczony. Dźwięk głosu Bogdara i logiczne wywody były jednak sugestywne i mimo nieprawdopodobieństwa pomysłu podzielały silnie na wyobraźnię Henryka. Ostatecznie znając przyspieszające promienie kappa i regenerujące lambda, a jednocześnie zdając sobie sprawę z nieograniczonych w tej chwili możliwości atomistyki, nie trudno było przyjąć takie założenia. Henryk był zaszokowany wielkością problemu, ale zarazem przekonany o tym, że ten śmiały pomysł jest do zrealizowania. Wątpliwości zrodziły się dopiero później, a w toku badań i doświadczeń pojawiały się ciągle nowe i nowe, nieoczekiwane trudności.

Najważniejsze momenty wspólnej pracy z Bogdarem Henryk notował w dzienniku.

Z DZIENNIKA HENRYKA R.

14.II.2055 r.

DZISIAJ Bogdar powiedział mi o celu swoich badań. Jestem wstrząśnięty wielkością i śmiałością pomysłu. Chcę w możliwie dokładny sposób odtworzyć naszą rozmowę.

W pracowni było prawie cicho. Olbrzymi ultrasynchrocyklotron widziany przez wielką tafelę z przezroczystego enteurozytu stał milczący. Lekki szmer lamp elektromagnetycznych systemu „Akademos” stwarzał specyficzny nastrój; masywne prostopadłościowe kwantochromy tkwiły pod ścianami jak szare odłamy bazaltu.

Profesor Bogdar wyłożył mi swoją teorię prosto, z wyjątkiem i nieoczekiwanie w trakcie odbierania wyników obliczeń od jednego z „akademosów”. Postaram się możliwie dokładnie przytoczyć jego słowa:

— Pracujemy, młodzieńcze, a cel jeszcze daleko przed nami.

— Jakież to właściwie cel?

— Hm... hm... Dużo chciałbyś wiedzieć. Tego ja też nie wiem. Stawiam tylko hipotezy, założenia, buduję teorię, obserwuję i sprawdzam doświadczenia moje pomysły. Czy ja wiem, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi? A cel? Potęga ludzkiego umysłu jest niezmiernie. Odbijamy podróżę międzyplanetarną, budujemy maszyny, które setki tysięcy razy sprawniej od nas liczą i przeprowadzają analizy chemiczne, potrafimy laboratoryjnie wytworzyć żywe komórki, zaprzęgamy najmroźniejsze promienie, automaty, całą niemal przyrodę w służbę człowieka, wydieramy wszechświatowi tajemnice mikro- i makrokosmosu, przenikamy ekały i kolonizujemy planety, produkujemy i przetwarzamy pierwiastki. Wybacz mi ten patos... Nie umiemy jednak jeszcze bardzo wielu rzeczy. Czy istnieją granice dla ludzkiego umysłu? Myślę, że chyba nie. Ale długo musimy poczekać na ten wielki moment, kiedy człowiek naprawdę będzie panem wszechświata. Myślę teraz o jednej sprawie, która nie daje mi spokoju. Nasunęły mi pewną hipotezę odkrycia Lao-kianga i Smitha w dziedzinie fizyki atomowej oraz osiągnięcia biochemii w zakresie sztucznego tworzenia życia. A oto krótki wykaz tych najważniejszych dla mnie w tej chwili odkryć: promienie kappa Lao-kianga, lambda — Smitha, dokładniejsze badania Sheridana nad promieniami mezonowymi, które wprawdzie znane są od dawna, ale których istotę on dopiero uchwycił, mało jeszcze znane zjawisko cyklicznego promieniowania hiperonów

w specyficznych warunkach hamowanego procesu syntezy jądra opracowane przez Krasnodniewcowa, stworzenie w laboratorium Barraque'a panofelka kanadyjskiego. Według mnie — przed fizyką atomową, ściślej przed promieniotwórczością, otwarte są nieograniczone wciąż możliwości. Dlaczegoż nie pokusić się o to, co było zawsze dla człowieka nieosiągalnym, a często mitologizowanym marzeniem? Mam na myśli odtwarzanie przedmiotów i organizmów, a nawet wprost tworzenie. Sądzę, że rozwiązanie znajdziemy w zjawisku promieniotwórczości.

Wówczas, gdy ja siedziałem wstrząśnięty śmiałością myśli Bogdara, profesor nacisnął guzik automatu „Sapor” i za chwilę rozkoszowaliśmy się aromatyczną kawą.

— Ciekawe? — zagadnął mnie po chwili milczenia.

— O tak. Ale także niesłychanie śmiała. Interesuje mnie właściwie w tej chwili najbardziej problem, ile czasu potrzeba do zrealizowania tych — przepraszam, że tak to nazywam — marzeń lub też do ostatecznego stwierdzenia, że jest to nieosiągalne.

— Stoimy dopiero u progu tajemnicy, której rozwiązanie, być może, kosztować nas będzie całe nasze ludzkie życie. Ale przecież poprzednie wielkie odkrycia też nie przyszły łatwo. Przypomnijmy sobie choćby długoletnie badania nad promieniami kappa i lambda. Zresztą z promieniami lambda sprawa nie jest bynajmniej zakończona. Właściwie najważniejsza przeszkoda została chyba przezwyciężona: możliwość regeneracji zniszczonych tkanek, chociaż nie stosowana jeszcze powszechnie, dała nam do ręki potężną broń. Od regeneracji częściowej do całkowitej jest krok tylko. Czy jednak starczy jednego życia na zrobienie tego kroku? Na szczęście dysponujemy nowoczesnym ultrasynchrocyklotronem i mamy w swym posiadaniu doskonałe „akademosy” i kwantochromy. Poprzednicy nasi byli przez współczesną sobie technikę skąpiej wyposażeni. Najbliższy nasz cel — to odkrycie pierwiastka, który przy stopniowej reakcji łańcuchowej wyzwalalby promienie odtwarzające.

Milczałem, chociaż interesowało mnie jeszcze bardzo wiele rzeczy, chciałbym od razu wiedzieć niemal wszystko.

15.II.2055 r.

Dzisiaj Bogdar podzielił zadania. Ja — według niego — jako najbliższy współpracownik — powinienem zająć się zbadaniem wszystkich znanych pierwiastków chemicznych, zwłaszcza uranu, plutonu, ameryku, kloru, berkeleu, a przede wszystkim peluru, eazonu i septemderytu pod kątem rodzajów promieniowania przy wszelkich możliwych reakcjach atomowych i jądrowych. Trzeba też będzie poddać próbom nobillium, chociaż profesor nie spodziewa się wiele po tym pierwiastku. Bogdar poszukiwał będzie nowych pierwiastków, a może również nowych sposobów wywoływania i regulowania reakcji łańcuchowej.

17.II.2055 r.

Moja wczorajsza rozmowa z Bogdarem odsłoniła mi dalsze plany profesora. Postaram się ją odtworzyć.

Bogdar: Musimy znaleźć sposób nagłego przerywania gwałtownej reakcji łańcuchowej wywołanej rozszczepieniem jąder atomowych.

Ja: Do czego to jest potrzebne?

Bogdar: Nie chodzi mi tylko o to, aby móc przywracać niejako życie organizmowi zmarłemu, można powiedzieć, naturalną śmiercią, ale również o to, by odtwarzać to wszystko, co poprzednio będzie zniszczone nawet za pomocą eksplozji nuklearnej. Trzeba więc po wybuchu zahamować gwałtownie reakcje łańcuchową, aby następnie spowodować proces regresywny. Trudności jest zresztą prawdopodobnie o wiele więcej.

Ja: Ależ chyba wystarczy nam odtworzenie przedmiotu zniszczonego nawet za pomocą zwykłego rozbijacza atomów? To już da nam wystarczający materiał doświadczalny.

Bogdar na to nie odezwał się. Ciekawe, co on myśli.

18.III.

Bogdar — to wola i niespożyta energia. Poznaję go coraz lepiej. Jest to niewątpliwie tytan pracy, geniusz myśli, a przy tym głęboko ludzka jednostka. Właściwie — to ideowiec. Przekonałem się, że motorem jego działania nie jest ani chęć sławy, ani abstrakcyjność pojęcia nauka dla nauki, ale bezinteresowne pragnienie uczynienia człowieka potężnym i szczęśliwym. Marzy o swoich odkryciach humanistycznie. Ten jasny, szlachetny cel chyba pomoże nam w naszej pracy.

(Dok. w numerze następnym)

powracają już

Nie wołaj mnie do domu

czekałem
co dzień
czekałem
listonosz
przychodził
przechodził
odda pan ten list kowalskim
bo u nich zamknięte
nie ma
nie ma
sto dni
pięćset dni
wysychają oczy
wreszcie jest
list który wysłałem kiedyś do joanny
wraca nieodpieczętowany
list który wysłałem kiedyś do bożeny
wraca nieodpieczętowany
list który wysłałem kiedyś do grażyny
wraca nieodpieczętowany
powracają
z przeciwnej strony wszechświata
przychodzi
list który wysłałem wczoraj do siebie
nie trafił do adresata

Nie wołaj mnie do domu
uśmiechem,
zachęta,
prośbą niemilknących ust kołatek.
Widzisz? —
Noc bije oczarowaniem na alarm,
noc,
która płynie z warkoczem światła,
we włosach nieba gwiazdy zapala.

Nie wołaj mnie do domu
w muzycznej chwili,
w czasie spodziewań.
Zwiń rąk swych żagle,
niech spoczną.
Zostaną!
Bo dusza moja z pięknem się zaręcza,
bo o czymś zamyśliło się nagle
miękkie pióro mojego serca.

Okiem zgryziptórka

Pochwała prowincji

WŁASCIWIE zaczęło się wszystko od króla Stasia. Miał on tę niepoważną ambicję, że chciał — będąc politykiem — rozwinąć sztukę. Zbierał wokół siebie malarzy, architektów, organizował literackie czwartki. Wszystko w Warszawie. Wiadomo, stolica! (ludzi drażliwych pocieszymy, że np. francuskie piosenki o mieście — to o Paryżu). Pomysł był sam w sobie niezły, jednak literaci tak się tu zasiedzieli później, że stworzyli w następnej generacji zaschły klasycyzm warszawski. Poczuli się pewnie w swej skorupie i sięgnęli po berło prawodawców smaku. Jakie były tego skutki, wiemy: na Litwie wyrósł Mickiewicz z legionem filomatów, na Ukrainie Zaleski... i zmiotli to wszystko wieszczym podmuchem. A więc prowincja uratowała literaturę od skostnienia.

Gdy bujny romantyzm zgasił, w stolicy wysypała się cyganeria warszawska. Tym razem ona próbowała odnowić literaturę. Całe szczęście, że była zbyt młoda, ruchliwa i poszukująca i zapomiała o swej roli autorytetu, zresztą warunki nie wolili nie pozwalały na normalny rozwój literatury, tak że nawet szkoła pozytywistyczna w Warszawie po ambicjach narzucenia swego kanonu samą wpadła niedługo w melancholię i sceptycyzmy. Potem był modernistyczno-abnegatywny ruch w Krakowie, bo tam było najswobodniej, i wreszcie jak tylko Polska uzyskała niepodległość, od razu pierwsze skrzypce zaczęła grać literatura (zwłaszcza poezja) w Warszawie (wiadomo, stolica), którą złośliwy czasem Zawadzki nazwał polską Abderą, najpiętszym miastem, a Jerzy Liebert napisał o niej:

Tu snobów, czytelniku, wierz,
Królestwo! — o tym wiem coś sam:
Pewnego dygnitarza znam
I fabrykanta cukrów też...

Tu skupiły się najważniejsze pisma literackie, a „Wiadomości Literackie” ferowały wyroki, od których zależała pozycja autora, kto nie był w kółku lub w łaskach i nie uzyskał dobrej cenzurki, pozostawał namacalnie i w przenośni chudym literatem. W poezji rozgościł się i wygrywał na Parnasie „Skamander”.

Po paru jednak latach ocknęła się prowincja i co krok zaczęły

powstawać nowe i żywe ośrodki literackie, by wymienić zegadłowiczowski „Czartak” w Gorzeniu Górny, adwentystów z Czernikiem w Poznaniu, „Reflektor” w Lublinie (tak, tak, w Lublinie — były takie czasy), „Kamień” w Chełmie (nawet w Cneltmie, Zamościu, Hrubieszowie... coś się robiło) i wileńskich zagarystów... Prowincja znów wprowadziła ferment i nowe tony. Po wojnie na nowo ster uchwyciła silnie Warszawa i kierowała literaturą jak chciała. Zasada została, zmieniła się tylko etykieta: przedtem zardziła snobistyczna megalomania, teraz dołączył się biurokratyczny centralizm.

Obecnie centralizm trochę popuścił, lecz prowincja została tym zaskoczona. Jak wiemy, świeży podmuch z terenu nie trwał ciągle. Na razie rozwijają się tylko staranne wydawnictwa: dwa poznańskie i Wydawnictwo Literackie w Krakowie, i złota młodzież buszuje po zatęchłych piwnicach. Poczekajmy jeszcze parę lat a zobaczymy, że nie bez kozery śmiałem wygłosić pochwałę prowincji. Proces bowiem jest prosty: prowincja zapada od czasu do czasu w letargiczny sen, na powierzchnię wypelzają literacy emeryci i celebryci poetycki obrzędek, zbierają pamiątki i pieszczą wspomnienia; każdy z nich miał jakiś sukces, każdy ma dość pękate szufelki... Czasem jest trochę więcej ruchu: kłóci się młodzież ze starymi. A właściwie nie kłóci, tylko starsi, zdobywszy pozycję, strzegą jej zazdrośnie, młodzi zaś łapczywie ją obchodzą i podważają. W ten sposób sklerotyczna krewkość i rutyna oraz buńczuczność i cherlawość zarazem zacietrzewienie tworzą anemiczną literaturę i dopełniają senny rytuał prowincji. Kiedy nastąpi uderzenie i z jakiej strony, pozostaje w tajemnicy, w każdym razie nastąpi ono. Czekać, zabijmy sobie czas czytaniem Czechowicza:

kamienie kamienie
ściany ciemne pochyle
księżyc po stromym dachu
toczy się jest nisko
zaczekaj zaczekajmy chwilę
jak perla
upadnie w rynku lubelskiego
miskę
miska zabrzęknie
(prowincja noc)

zzzz

LEOPOLD GÓRSKI

Wyznanie

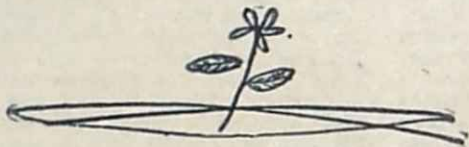
Płynący w zachodu dni burze wiemy w pamięci
mózg wydłubuje co chwilę
słońce skrwawionym żaglem
tobie młodości zamknięta ten wiersz poświęcić
kiedy w listowie gwiazd
oczy otworzysz nagle

to nie rumaki tętniły gdy mgły zżerały nam oczy
kwiaty okiennych doniczek zęgnały miękką dłonią
to serc szalony rytm strachem nam myśli mroczył
uchodząc każdego ranka
własnej ojczyzny pogoni

po co rozstajne krzyże
wyrosły nam nowe wierzby już nie płaczącą dziewczyną
gorzki gorzały smak gdy oczy i ręka wyżej
trudnych sumienia spraw
które rozważać zaczynasz

gdy miasto powstaje z mgły
wnoszą w ostrym rozkwicie chleb zeszlorzonych
[granatów
po coś mi bracie dał rękę
bracie jam człowiek zły
zbuntowanemu światu
w bebech poezji nóż wbijam nim do modlitwy
[klęknię

a później znów się waham historią podcięty jak
[kosą
w roju meteorów
zginęły myśli i miasta
stałimy przed lasem w szeregu
gdy krzyże śmieć nosząc
buchnęły w aksamit wieczoru
czerwona gwiazda
zielona gwiazda
i żółta jurku nad tobą



Jak się ksiądz Matrasek załamał...

MIROSLAW
DERECKI

O J, stary, starutki był ksiądz Matrasek. Stareńki był już oj Matrasek ksiądz. Ale Fajarę, to była taka wieś, krzepko jeszcze dzierżył w garści. I silny był. Jana Nepomucena, organistę, co go cała wieś nazywała Jasiem Różą, potrafił czasem tak spruć cybuchem, że aż stary, spódnicy knur Akrofil, choć to tylko głupie zwierzę, drżał na całym ciele ze strachu.

A kto doprowadził do miłej koegzystencji pomiędzy ortodoksyjnymi katolikami a frakcją tzw. „patriotyczną”? Ksiądz Matrasek. Albo kto pierwszy wykazał zbawienne działanie prażonego bobu na bóle w okolicy ciemienia? Wiadomo, ksiądz Matrasek. Madry był ten ksiądz Matrasek. Pomału, pomalutku rozgryzał ludzi. Jednego tylko człowieka we wsi nie mógł rozgryźć. Bardzo nad tym bolał staruszek. Tak! wstyd! Nie móc rozgryźć człowieka... *

Ten stary Wojciechcho, nic tylko se orał i orał. Jak doorał do górkę, pod którą kończyły się jego grunta,

nie wrócisz już do plosenki
jak nie powrócisz do domu
rozbitej szklanki dźwięk
bryzgami twarz ci moczył
wstawał nad życiem księżyc
i zapach nocy miękk
gdy liści ostatni szepł
zmęczone zamykał oczy

w zadumie melodii tamtych
rozwiwa się twoja twarz
opadające mgły rozdarło planie brzasku
cóż że przyjaciel rękę gdy matka samotny płacz
jak kamień z bruku ojczyzna twa miłość
kreując główną rolę
bez widzów i bez oklasków
graliśmy sztukę tych których wśród nas nie było.

zawracał i z powrotem zaczynał orać. Potem w poprzek a potem w skos. Ale bronować to nie bronował. Tylko tak se i se...

Wszyscy się strasznie dziwili, bo wiecie, można długo, ale nie przez dwadzieścia pięć lat bez przerwy. Ale wieś miała swój honor i o nic nie pytała. No i miał ten stary Wojciechcho konia, który nazywał się Rezeda. On był tresowany czy co, bo jak się ze swoim panem zgadzał i pochwałala jego posunięcia, wypuszczał z nosa jakieś takie fintifluszki i mówił „oho”. I nic więcej.

Gdzieś pod koniec dwudziestego piątego roku orania ludziom to wszystko zdziwiło się i zaczęli ze zdenerwowania wylażyć ze skóry. Wylażali, wylażali aż wylażali. Ale to nie pomogło. Więc zaczęli pukać się w czoło. Pukali i pukali. Ale to też nie pomogło. W końcu zaczęli myśleć. To było interesujące. Myśleli i myśleli. Aż dziw...

A stary Wojciechcho nic, tylko se orał i orał. I tylko Rezedę popędzał.

Aż raz stała się sensacja! Chodzi o to, że Chrabia... Ale zaraz, zaraz, najpierw Wam go przedstawię...

Otóż Chrabia to był lepszy gość! Kiedyś, to on właściwie pisał się przez samo „H”, ale po reformie rolnej nic tytułu przez Cecha i Cecha. No i ten Chrabia zarabiał na chleb strzelaniem z dubeltówki do fotografiur swoich przodków. I żył, jak Pan Bóg przykazał.

Alle od tego Wojciechchowego orania jakoś zgłupiał i strzelał wszystkim psom pod ogony, a potem zgwałcił ośmioletnią dziewczynkę i uciekł do nowohuckiego kombinatu, gdzie został inżynierem. Sensacja.

A stary Wojciechcho tylko se... i se...

Jak już wspominałem, wszyscy myśleli i myśleli. A Kosacka nie. Bo Kosacka była mądra i nie potrzebowała myśleć. Nie na darmo obracała się między artystami. Jak do tego doszło? Wiecej przecię, że Kosacka co tydzień nosiła do miasta królki poświęcane przez tego księdza od nudystów. Odbiorcami byli głównie artyści. Po co im były królki, nie wiadomo. W każdym razie Kosacka mądrzała z dnia na dzień.

I Kosacka orzekła, że nie ma co myśleć. Trzeba zostawić Wojciechcha swojemu losowi.

Alle to nie tak łatwo przestać myśleć, jak już raz się zaczął.

A stary Wojciechcho nic, tylko se orał i orał...

Pierwszy załamał się właśnie ksiądz Matrasek. Już nie chciał rozgryzać Wojciechcha. Marzył tylko o jednym: przestać myśleć! Za wszelką cenę przestać myśleć!

Pewnego dnia stanął ksiądz Matrasek na miedzy. A włosy rozwiewał mu wiatr, by męczennikowi. Za nim stanęła cała wieś. Co do jednego człowieka. Cicho było.

Ksiądz Matrasek i stary Wojciechcho zaczęli się pasować wzrokami. Alle zaraz ksiądz Matrasek spuścił oczy. — Wojciechcho, powiedział drżącym głosem, już nie będę w rozgryzał. Powiedzieć tylko: dobrze, jam się orze? — Co ma być źle? — dobrze. — A właściwie, to po co wy oracie? — Żeby wyorać. — No... i wyorać już co? — Iiii, na razie tylko pudełko po sardynkach i jakiś stary kapeć...

No, to wio, Rezeda!

Oho.

PRZY PRACY

(Dokończenie ze str. 3)

ale dla ciepła gotowi byliśmy narazić się i na większe przykrości. O tych przywacjach, jakich doznałem osobiście, trzeba tu teraz wspo- nieć. W obozie nie wolno więźniowi korzystać z niczego, co by mu nie było wydane przez władze. Przez dłuższy czas na przykład nie mieliśmy chustek do nosa, bo nasze były złożone wraz z całą osobistą garderobą w tzw. „Efektenkamerze”, a obozowych nie otrzymaliśmy. Wycierało się tedy zakatarzone nosy w najprymitywniejszy wiadoomy sposób, osuszając je potem mankietami rękawów, które skutkiem tego nabrały charakterystycznego połysku. Nie wolno było mieć przy sobie żadnego drobiazgu, szczyrorka, portmonetki, ołówka ani kartki papieru. Pieniądże trzymaliśmy w „beutlach”, malutkich skórzanych sakiewkach zawieszonych na piersiach. Dla ściślejszego przestrzegania tego zakazu kleszenie od spodni były zasyte, a od czasu do czasu odbywała się rewizja dla sprawdzenia, czy ktoś z nich przypadkiem nie korzysta. I zawsze blokowy lub „sztabowy” znajdował kilku winowajców, którzy mieli przy sobie papierosy, sznurki lub ołówki. Nieraz wybuchaliśmy śmiechem na widok zawartości przetrzasyanych kieszeni, bo czegoż tam nie było: kawaleczki skóry, gwoździe, śrubki itp. graty, jakie spotkać zwykłe można w kieszeniach ośmioletnich chłopców. Bo w obozie wszystko jest skarbem i przydać się tak czy inaczej może, zresztą owoc zakazany smakuje. Oczywiście, wszystko to natychmiast ulegało konfiskacie, a przestępca w zależności od humoru blokowego otrzymywał monit, wymyślenia lub jakieś karne zajęcie w bloku. Pokusa jednak była zbyt wielka: korzystanie z kieszeni, choćby nawet nie było w nie czego włożyć, to pozór niezależności. Obchodzono się więc ten zakaz w różny sposób, często

rozcinając woreczek kieszeniowy od środka i przedostając się do niego tylnym wejściem przez rozporek.

Gdy zimno zaczęło nam dokuczać a płaszczy jeszcze nie wydano, niektórzy opancerzali się pod koszulę warstwą gazet, a kilku kolegów zaopatrzyło się za pośrednictwem pracujących w warsztatach krawieczech w szerokie pasy trykotowe, które umieszczali na ciele, zabezpieczając w ten sposób brzuch i nerki. Kosztowała ta przyjemność dwie marki. Zauważyliśmy, że zarówno Theo jak i Maks korzystają z tej nielegalnej części garderoby. Alle co wolno wojewodzie... Bo oto i ja złąkomiłem się na kupno takiego pasa. Grzał solidnie, alle miałem z nim wiele kłopotu. Gdzie go trzymać? Dobrze na sobie, alle przecież rano i wieczór rozbieramy się przy myciu do polowy, zostawiając koszule i kurtki w szafce, bo wejść w nich do umywalni to przedsięwzięcie. Zostawić pas, „sztabowy” może zajrzeć do szafki, jak to nieraz czynił, i znajdzie corpus delicti: mieć go na sobie podczas obluji, nie da się ukryć, bo wygląda spod spodni. Przez kilka dni udawało mi się lawirować, alle pewnego niefortunnego ranka Theo przyłapał mnie na gorącym uczynku zawiązywania na brzuchu zakazanego przedmiotu. — „Chodź no, chodź no! — zawołał — to nie wiesz, że to wzbronione? Skąd to wzięłeś?” — „Kupiłem”. — „A ten, kto ci sprzedał, ukradł materiał w warsztacie. Popierasz złodzieja, a zresztą tak czy inaczej, nie wolno. Będziesz ukarany” — oświadczył zabierając pas ze sobą. No i kara polegała na tym, że blokowy znów mnie przydzielił do kliniarni.

Alle teraz jest jeszcze gorzej. Zimno, a przy pracy płaszcz trzeba zdejmować. Wiatr hula po otwartej przestrzeni, powietrze mgliste, przesiąknięte jesienną wilgocią. Zupa, nim się ją doniesie, stygnie zupełnie, a jeść trzeba stojąc,

bo mokra ziemia nie zachęca do spoczynku. Na domiar złego zajęcie mam uciążliwe: ładowanie piasku do lor. Piasek już nie jest taki przystępny jak sześć tygodni temu, nasiąkły wilgocią, jest przede wszystkim ciężki. Podrzucanie go łopatą do wyższej stojącej łory wymaga sporego wysiłku, Vormani się uwiązają, przynaglają uciąż swym obrzydłym: los! i nie ograniczają się tylko do słownej podniety. Po całodzienniej pracy wracam do bloku przemęczony, bolą mnie mięśnie ramion, po wieczery od razu zasypiam snem kamiennym. Nazajutrz to samo i trzeciego dnia.

Czwartego przydzielono mnie do kopania gliny. Dzień był szary, ponury, siąpił lekki deszczyk. Praca sła mi opornie, niepodatna glina lepiła się do szpada, niechętna moim wysiłkom. Vorman August, drab z czarnym trójkąciem, „asocjalny”, warknął na mnie kilkakrotnie z dołu. Nie rozumiałem, o co mu chodzi, kopałem dalej z nie najlepszym wynikiem. Ten nagle wdrapał się do mnie na górę, wyrwał mi z ręk szpadel i wykonał nim kilka ruchów odrzucając glinę. „So musst du arbeiten!” krzyknął oddając mi z wściekłością narzędzie. „Dobrze ci tak gadać! Pokopać dwie minuty to nie sztuka, zresztą całe życie pewno pracowałeś łopatą, jesteś silny i dobrze odżywiony” — pomyślałem zabierając się znowu do roboty. Stał nade mną paralizując swoją obecnością jeszcze bardziej moje ruchy.

I nagle uczułem potężny cios w głowę, od którego zwałłem się na ziemię, stoczywszy się kilka kroków na dół, okulary przy tym spadły mi z nosa. Twarz mnie paliła z bólu, usiłowałem powstać, a siepacz zstąpił ku mnie i kopat leżącego raz po raz ciężkim butem. Nadbiegł drugi, dotożył ze swojej strony, alle na mój krzyk: „Meine Brille, ich kann nicht ohne Brille sehen!” odciągnął swego towarzysza, tym bardziej, że zbliżał się Selman. Myślałem, że to nadchodzi nowy nieprzyjaciel, alle ten zmylił go obydwoh i zaczął im szukać okularów. Leżały wdeptane w ziemię, jedno szkło było stłuczone.

No, dobrze, że choć drugie ocalało, byłbym zupełnie ślepy. Wiedziałem, że w obozie nowych okularów nie nabeđe i o ich całość w tej chwili najbardziej mi chodziło. Bo oczy przecież zawsze uprzedzały o groźnym niebezpieczeństwie, „oczami” się pracowało. Z chwilą, gdy jedno szkło zostało stłuczone, stałem się pod tym względem o 50% uboższy. Bezsilny w swej nienawiści, zbity, skopany, alle nie upokorzony, obolała spuchnięta ręką wpisałem w księdzę swej pamięci jeszcze jedno obciążające rachunek wroga „debet” i wróciłem do pracy. August już mnie więcej nie prześladował, nie patrzył w moją stronę, a jak później zauważyłem, jakby szukał usprawiedliwienia dla swego postęku. Czyżby Selman mu coś nagadał, czyżby obawiał się jakichś konsekwencji? I jakich? Dokąd mógłbym pójść ze skargą, gdzie szukać sprawiedliwości, gdy nawet zbrodnie tu tolerowano? Tak czy inaczej, podszedł później do mnie, nagryzmolił coś na kartce, którą mi wręczył, mówiąc, że otrzymam nowe szkło do okularów i że on za nie zapłaci. Oczywiście, była to blaga, wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Alle czyżby się mnie bał?

Po obiedzie wywołano kilkudziesięciu z naszej grupy do wyładowywania węgla z wagonów. W czasie tej łatwej alle brudnej pracy podszedł do mnie jakiś nieznanzy mi Vorman i zaczął po czesku rozpytywać o szczegóły przedpołudniowego zajęcia. No, no i jakżeż to do jego uszu dotarło! Byłem na tyle naiwny, że wziąłem jego ciekawość za współczucie i opowiedziałem mu wszystko. A ten na zakończenie rzekł: „Dobrze zrobił, powinien ci stłuc oba szkła, a ciebie skopać do nieprzytomności. Po co o tym opowiadasz?” — Nic mu nie odparłem na tę nieczemność, bo ogarnął mnie paroksyzm wściekłości, a Czech czy Niemiec sudecki poszedł dalej.

Alle nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zgłosiłem swój wypadek blokowemu, który uznał, że w



Józef Abramowicz: Młocka

Fot. L. Hartwig

PRZEGLAD Kulturalny przynosi orzeczenie jury, przyznające nagrody artystyczne Przeglądu Kulturalnego za rok 1957. Należy stwierdzić, że jury nie poszło po linii najmniejszego oporu; nagrody są pomyslane mądrze i ciekawie. Trudno nie ocenić trafności wyboru, tym bardziej, że uzasadnienie jest również przekonujące. Zygmunt Mycielski (nagroda za esej) „pisze w ten sposób o muzyce, że w swoich pracach obejmuje jak gdyby całość zagadnień kulturalnych życia polskiego”. — Sławomir Mrozek (nagroda za prozę) „w ogromnej mierze odnowił polską satyrę i nadał jej bardzo doniosłe znaczenie kulturalne, łącząc ostre widzenie współczesności z nowoczesnością formy, ze świeżością spojrzenia i przede wszystkim z nadaniem dużej rangi intelektualnej i artystycznej temu właśnie gatunkowi twórczości”. — Józef Szajna, scenograf Teatru Skuszanki w Nowej Hucie (nagroda za sztukę plastyczną) „umiał właśnie Teatrowi tak mocno narzucić element plastyczny, że właśnie temu elementowi plastycznemu Teatr nowohucki zawdzięcza w dużej mierze swą przodującą pozycję w życiu teatralnym”.

Ciekawie pisze o krakowskiej premierce „Wyzwolenia” Jan Kott; dzieło to, zdaniem autora, okazało się bardzo teatralne i soczyste, „aktualne, chociaż secesyjne; bardzo krakowskie, chociaż wcale nie prowincjonalne; przejrzyste, jasne, klarowne, chociaż bardzo wypiańskie; tradycyjne, chociaż bardzo rewolucyjne”. Zresztą i inni recenzenci jednomyślnie uznają krakowskie przedstawienie za wydarzenie teatralno-wielkiej wagi, podkreślając żywość i aktualność utworu, a szczególnie drugiego aktu. Warto by było, aby kierownictwo lubelskiego teatru, które jakoś nie może się zdecydować na właściwe uczczenie rocznicy Wypiańskiego, wzięło to sobie pod uwagę.

NIEDAWNO została powołana do życia Komisja Kultury KC PZPR, która ma zastąpić dawnego Wydziału Kultury KC. Działalność tego Wydziału niezbyt chlubnie zapisała się w pamięci środowisk twórczych, dlatego też na pierwsze poczynania nowej komisji zwrócona jest baczna uwaga. Zainteresowanie to jest tym bardziej zrozumiałe, że formy pracy Komisji są dopiero w stadium początkowym. Z dużym zaciekawieniem czytamy w ostatnich dwóch numerach Polityki rozmowy, jakie przeprowadził Kazimierz Koźniewski z sześcioma członkami Komisji Kultury: z Leonem Kruczkowskim, Władysławem Daszewskim, Jerzym Toeplitzem, Julianem Przybosiem, Janem Swiderskim i Lucjanem Motyką. Rozmowy toczyły się dokoła kilku zasadniczych problemów, z których na czoło wybił się problem pracy politycznej z artystami i twórcami, a nawet szerzej z inteligencją w ogóle, oraz problem upowszechniania w związku z niebezpieczeństwem komercjalizacji kultury i zalewem szmiry.

Wszyscy dyskutanci zgodni byli na jednym punkcie, że nie wolno wracać do jakichkolwiek form nacisku. Jedną

z głównych zasad nowej polityki kulturalnej Partii winna być zasada umiętnego wykorzystania twórców, a nie naginania ich wbrew aspiracjom, chęciom i ambicjom.

Leon Kruczkowski tak określa zadania Komisji: „jesteśmy ciałem doradczym dla Sekretariatu i dla Biura Politycznego. Będziemy rozważać zagadnienia zlecone nam przez kierownictwo partii, lub też podejmować określone problemy z własnej inicjatywy — chodzi o wypracowanie zasad polityki kulturalnej naszej partii, która przecież i w tej dziedzinie nie może na dłuższą metę zrezygnować z oddziaływania na rozwój zjawisk kulturalnych”, a dalej „nie umiem i nie potrafi tego chyba nikt z nas, już teraz podać sposobów rozwiązania problemów, jakie mnożą się przed nami. Wiemy, że nie chcemy komercjalizacji kultury, wiemy, że nie chcemy uwsteczniwania kulturalnego wsi naszej, naszych miasteczek i małych miast, wiemy, że nie chcemy jednostronnego kontaktu ze sztuką reszty świata, ale nie sądzę, żeby było dobrze już teraz ustalać jakieś sztywne zasady naszego postępowania. W przeszłości zbyt wiele błędów popełniliśmy właśnie dlatego, że zbyt rygorystycznie z góry zakładaliśmy sobie pewne wytyczne. Tego nie wolno powtarzać”.

Julian Przybóś przewiduje, iż Komisja stanie w obronie tych zdobyczy naszej kultury i sztuki, które już zostały osiągnięte. „Nie możemy się przecież cofać do kapitalistycznego handlu sztuką. Sądzę jednak, że Komisja Kultury powinna się zajmować przede wszystkim zagadnieniem rozwoju twórczości i stać się doskonałym mecenate. Jeśli przygotowujemy glebę dla „stu kwiatów”, wierzę w świetny rozwój naszej sztuki. Jestem optymistą”.

Jan Swiderski rozważa sposoby właściwego oddziaływania na repertuar teatrów i dochodzi do wniosków: „utwierdzając nadal wszystko co sprzyja rozwojowi sztuki teatru, należałoby tym energicznie tępić szmirę. Jakimi metodami? Powrót do metod nacisku, nakazów, dałby na pewno skuteczne rezultaty — tak skuteczne, jak skutecznym środkiem na odciski jest amputacja nogi. A więc co zrobić? Bez rozsądnej odpowiedzi na to pytanie nie ma, myślę, polityki kulturalnej. Polityka kulturalna oparta o zasady, że wszystkim wszystkim wolno za państwowe pieniądze jest również zła, jak polityka „brania za mordę”.

Z braku miejsca muszę się ograniczyć w przytaczaniu dalszych cytat, aczkolwiek wiele jeszcze ciekawych rzeczy znajduje się w tych wypowiedziach. Sądzę jednak, że ten bardzo bogaty materiał do dyskusji nie ujdzie uwagi twórców i działaczy kulturalnych. Niewątpliwie na łamach naszego pisma do tych problemów jeszcze nieraz powrócimy.

SKORO już mówimy o sprawach polityki kulturalnej partii, nie od rzeczy będzie rzucić okiem na ostatni numer Trybuny Literackiej (1/9), która z racji swego powiązania z Trybuną Ludu może uchodzić w oczach czytelników za organ wyżej wymienianej Komisji Kul-

owych nie wydano bezpośrednio przy pracy, Vorarbeiterzy roznosili je różnie po blokach. I oto August wśród innych numerów wywołal i mój. Zawahałem się przez chwilę, czy się odezwać, ale rozsądek wziął górę nad uczuciem: chleb nie jest jego, należał mi się od dawna. Podszedłem i wziąłem. Spojrzenie jego padło na mnie, poznał. W tej samej chwili podeszli do niego Niemcy z mojego stołu i wywiązała się ostra rozmowa. Zwołaszca unosił się Schuster wskazując na mnie i podniesionym głosem wyrażając swe oburzenie z powodu wczorajszego zajścia. Omal że nie doszło między nimi do bójk i August rejterował.

Tak, wstyd mi wyznać, ale porcję przyniesioną zjadłem i smakowała mi nawet. Widocznie żołądek to mniej szlachetna część człowieka, zwłaszcza gdy jest głodny.

Szkoło po kilku dniach nabyłem od któregoś z kolegów, wprowadzając ten sam numer, ale zblizony. Szanse mego bezpieczeństwa w obozie wróciły wskutek tego do przeciętnej normy*).

Kazimierz Andrzej Jaworski

* Rozdział z przygotowanej do druku książki „Serca za drutem”.

tury. Niestety, Trybuna Literacka nie wypracowała sobie jeszcze wyraźnego oblicza. Trochę poezji, trochę kroniki, parę artykułów dość powierzchownych i płytkich. Słusznie w artykule wstępnym Z. Klaczyński porusza sprawę dużego odłamu naszej młodzieży zapatrzonej niewolniczo w zagraniczne wzory. Wszystkie obserwacje są prawidłowe, autor jednak poprzestał na zewnętrznym opisie zjawisk, nie siląc się na głębszą analizę ich podłoża i przyczyn. Myślę też, że czytanie Conrada nie jest wystarczającym lekarstwem.

NOWA KULTURA (nr 1/406) na czołowym miejscu omawia sylwetkę Aleksandra Wata, który otrzymał nagrodę tego pisma za tom nowych utworów lirycznych pt. „Wiersze”. Niewątpliwie świetne poezje laureata świadczą o wielkiej jego sile witalnej i twórczej. Wał bowiem należy do poetów starszego pokolenia, od dłuższego czasu milczał i zdawało się, że już odszedł od poezji. Słusznie w związku z powyższym pisze Kazimierz Wyka: „Wiersze Aleksandra Wata są zjawiskiem zgola niezwykłym, głównie we względzie moralnym, w sensie dotarcia do całkiem nowych pokładów nowoczesnej psychiki. I są zarazem przejmującym świadectwem, że młodość poezji, to nie młodość metryki jedynie. Podobne świadectwa w dziedzinie liryki przydarzają się niebawem rzadko”.

Poza tym w numerze ciekawy artykuł Zdzisława Broncela o Conradzie, a właściwie o „Jądrze Ciemności”, nowe opowiadania Romana Samsela, obfita kronika zagraniczna. K. T. T. w interesującym felietonie zastanawia się nad rozczarowaniem, jakie, jego zdaniem, przyniósł rok 1957 w literaturze. Spodziewano się bowiem, że po październiku sztuka wybuchnie, jak gejzer, że zalejemy rynek książkami, teatry nie nadążą z wystawianiem sztuk itd. Rzeczywistość okazała całkiem odmienne oblicze. Rozważając przyczyny tych zjawisk, felietonista „Nowej Kultury” dochodzi do następujących wniosków: „rozdrożenie literatury i impas roku 1957 ma, jak sądzę, swoje źródło w braku zasadniczej decyzji, czy chcemy uprawiać piarstwo wytwornej fikcji, czy też piarstwo masowe, obliczone na masowego odbiorcę, niosące pociechę i budzące zainteresowanie. Obie ewentualności stoją otworem, nie można jednak zrealizować obu na raz jednym dziełem, jednokierunkowym wysiłkiem” — a dalej: „a przede wszystkim zaś należy wyrzec się obłudnego mniemania, że literatura ma za zadanie zbawić naród. Oczywiście przypadkiem może się jej to udać. Ale naprawdę powinna się zająć zbawianiem siebie. Zbawić od religijnactwa i ślepoty. Od mitów i miraży. Mądry rok 1957 wylał nam na głowy kubel zimnej wody. Panie Boże zapłać, ale to już ostatni rachunek. Dalej spróbujemy bez bogów”.

RÓWNIEŻ naszej dzisiejszej literaturze jest poświęcony felieton Kisielewskiego w ostatnim numerze Tygodnika Powszechnego, pod przekornym tytułem „Bronię socrealizmu”. Po obszernym i dość powierzchownym wstępie dochodzi autor do ciekawych wniosków. Kisielewski twierdzi, że „zły socrealizm miał u nas swoje awantaże. Przede wszystkim to, że pisał o rzeczywistości. Dawał świad-

ectwo fałszywe, ale jedyne i obawiać się należy, że w braku konkurencji to właśnie świadectwo przejdzie do historii”. Tymczasem nasi pisarze zaniechali zupełnie pisanie powieści o dzisiejszości — nawet do szuflady, „odrzucający narzuconą wersję rzeczywistości odrzucono, dla bezpieczeństwa, i samą rzeczywistość”. Nawijając do swych ostatnich podróży na zachód, Kisielewski twierdzi, że zasadnicza szansa naszej literatury, to pokazać to co naprawdę mamy, a nie odbłask czegoś cudzego. „Świat ma prawo oczekiwać, że literatura nasza zaangażowana czy nie, socrealistyczna, katolicka, pozytywistyczna, czy jaka chcecie, stanie na poziomie naszej przełomowej sytuacji historycznej. Jest to jedyna szansa, aby stworzyć w Polsce twórczość własną, a zarazem nie zaściankową, uniwersalistyczną, atrakcyjną i pouczającą dla świata”.

Tak więc można stwierdzić, że rok 1958 rozpoczynamy pod znakiem troski o dalszy słuszny rozwój naszej literatury.

(B)

Regulamin konkursu na powieść

§ 1

Wydawnictwo Łódzkie ogłasza ogólnopolski otwarty konkurs na powieść oryginalną, nie publikowaną dotychczas drukami w całości lub części.

§ 2

Tematyka powieści nie ograniczona. Objętość nie mniejsza niż sześć arkuszy wydawniczych.

§ 3

Ustala się następujące nagrody:
I — 50.000.— zł
II — 30.000.— zł
III — 20.000.— zł
oraz trzy IV — 10.000.— zł
— łączna suma przeznaczona na nagrody wynosi 130.000.— zł.

§ 4

Sąd Konkursowy może zmienić wysokość nagród lub dokonać ich podziału w ramach finansowych wyznaczonych w § 3.

§ 5

Wydawnictwo Łódzkie zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do wydania prac nagrodzonych i nie nagrodzonych wg stawek honorariów przewidzianych w prawie autorskim.

§ 6

W konkursie może wziąć udział każdy autor niezależnie od przynależności do Związku Literatów Polskich. Ilość prac jednego autora dowolna.

§ 7

Skład Sądu Konkursowego ustalony w porozumieniu ze Związkiem Literatów Polskich zostanie podany do wiadomości za pośrednictwem prasy literackiej w terminie późniejszym.

§ 8

Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 września 1958 r.

§ 9

Ogłoszenie wyników nastąpi 15 grudnia 1958 r.

§ 10

Prace należy nadsyłać w czytelnym maszynopiśmie pod adresem: Redakcja Wydawnictwa Łódzkiego, Łódź, Mickiewicza 8.

Każda praca powinna być zaopatrzona godłem. W ściśle zamkniętej kopercie z tym samym godłem należy umieścić nazwisko i adres autora.

uszkodzonych okularach i ze spuchniętą ręką pracować na klinikierni nie mogę i wypisał mnie, tym razem już ostatecznie, z nifortunnego „kommando”.

Jeszcze epilog tej sprawy. Moje słuchane szkło w okularach nie uszło uwadze starszemu niemieckiej przy szóstym stole. Opowiedziałem o całym zajściu i spotkałem się z jej strony z oburzeniem na zachowanie się Vormana i z nieklamnym współczuciem.

Nazajutrz była niedziela. Po południu, gdy przeglądałem jakiś tygodnik niemiecki, wszedł nagle do jadalni mój wczorajszy oprawca. Poprzedniego dnia nie wydawano w klinikierni tak zwanych „zulag”, to znaczy dodatkowych porcji dla niektórych pracujących; składał się na nie chleb posmarowany margaryną i plasterki czegoś udającego kiełbasę. „Zulagi” owe należały się zasadniczo wszystkim, co dzień innej grupie; otrzymywali je zwykle nieliczni szczęśliwcy. „Vorarbeiter” na krótko przed przerwą obiadową obchodzili pracujących i zapisywali numery wybranych, przeważnie oczywista Niemców. Mnie przez cały czas dwukrotnego pobytu w klinikierni nie dostał się ani kawałek dodatkowego chleba. Gdy z jakichś powodów porcji

